

A jednak... zawsze można sobie poradzić

Najwięcej kłopotu miewają lekarze z chorobami umysłowymi, gdyż w bardzo wielu wypadkach nie sposób znaleźć właściwej metody do wyleczenia pacjenta z jego urojeń. Toteż pomysłowość ma tutaj ogromne możliwości. Jeden z lekarzy opowiadał o paru charakterystycznych wypadkach z zakładu dla obłąkanych w Petersburgu (jak nazwa miejscowości świadczy, rzecz się działa jeszcze przed wojną).

Pewien młodzieniec, 25-letni student uniwersytetu, uznany został za nieuleczalnie chorego, gdyż w żaden sposób nie można go było wydobyć z błędnych sieci urojeń, wśród jakich żył. Wyobraził sobie mianowicie, że jest drogocenną, kryształową wazą i cały dzień spędzał, stojąc nieruchomo na palcach, z wyciągniętymi poziomymi ramionami, w uroczym pozie tańczącej nimfy. Gdy się do niego zbliżano, wpadał momentalnie w atak konwulsyjnego płaczu i rozdzierającym głosem krzyczał: „Nie tykajcie mnie, bo się stłukę!”. Nie pomagała woda, nie pomagały ani lekarstwa, ani dieta, ani rozmaite „reżimy”. Aż wreszcie pomógł pomysł — prawdziwie rosyjski — który przyszedł do głowy naczelnemu lekarzowi. Skoro wyobrażał sobie, że jest taki kruchy i delikatny, no to należy go porządnie obić — powiedział sobie i myśl wprowadził w wykonanie. Na studenta rzuciło się kilku dozorców, którzy go obezwład-

nili i skrepowali, a następnie pościli go „obrabiać”, tyle tylko uważając, by go nie pokaleczyć.

Posiniaczony i obolaly, biedaczko spoczął na łóżku w oddziale dla obłożnie chorych, a gdy zjawił się lekarz... wyciągnął ku niemu ręce z radosnym okrzykiem: „No więc, chwała Bogu, nie jestem wcale ze szkła”.

Ale trwało to tylko tak długo, póki trwały sińce, kiedy zeszedł, wróciło dawne urojenie. Cóż było robić? Powtórzono poprzednią kurację. Tym razem pomogła już definitywnie. Kompletnie wyleczony młodzieniec po paru tygodniach opuścił zakład.

Innej metody trzeba było użyć z innym chorym, który sobie ubzdurał, że ma muchę w uchu. pozbawiając go zupełnie normalny, rozmawiał z lekarzami w sposób najzupełniej przytomny i inteligentny, usiłując że łąkami w oczach przekonać ich, że go przecież zupełnie niepotrzebnie trzymają w zakładzie dla warjatorów, skoro warjatem nie jest, a powinni raczej zgodzić się na jego prośbę i raz mu wreszcie zrobić operację.

Największe zaufanie miał do lekarza naczelnego, który przez 5 lat zrzędu dzień w dzień starał się jakoś go uspokoić mówiąc, że sam ośobiście wierzy w jego zapew-

nienia, ale coś kiedy inni lekarze są innego zdania, — opowiadając o rozkazie carskim, który nie pozwala na wypuszczenie pacjenta i t. p.

Wreszcie postanowiono zrobić eksperyment. Lekarz naczelnny oświadczył pacjentowi pewnego dnia, że udało mu się rozwiązać wszelkie skrupuły kolegów i że operacja może być przeprowadzona. Ale operacja ta jest bardzo niebezpieczna i pacjent ryzykuje życie. Czy się chory na tak wielkie ryzyko zdecyduje?

Bezsenność noc spędził nieszczęśliwy, ale na drugi dzień odpowiedział z determinacją: „Krajać!” Przeniesiono go więc na salę operacyjną, gdzie już była przygotowana cała komedia: tłum asystentów i pielęgniarek w białych fartuchach, opatrunki, narkotyki, cały arsenał narzędzi chirurgicznych, jakie tylko można było w zakładzie zebrać. Po zanarkotyzowaniu pacjenta, wrzucono do słoja ze spirytusem przygotowaną zawczasu muchę, następnie nałożono mu na ucho mocne bandaże, silnie przepojone jodformem, i kiedy się obudził z narkozy, pokazano z triumfem muchę, jako pomyślny wynik operacji.

Ten także został definitywnie wyleczony.

Cztery lata nieprzerwanego snu Jak w bajce o „Królewnie Śnieżce”

Przed czterema laty na konkursie piękności, urządzonym wśród amerykańskich stenotypistek, pierwszą nagrodę i tytuł „Miss Dactylo 1932” zyskała młodzienka blondynka, Patrycja Mac Guire z miasteczka Aricaga, rzeczywiście bardzo piękna twarzyczka i zdaje się wysoce fotogeniczna. O karierze też filmowej marzyła nowa królowa piękności, licząc, że umieszczenie jej fotografii przez wszystkie pisma w Ameryce ułatwi jej dostanie się do Hollywood. Los jednak zrzucił inaczej.

Wkrótce bowiem Patrycja zapadła w letargiczny sen, w którym trwała już przez cztery lata, jakgdyby realizując w dzisiejszej epoce baśń o zaklętej królewnie, która w szklanym pałacu czekała na przybycie królewicza, mającego ją obudzić i uwolnić.

Do Aricaga przybywały tłumy ciekawych całej Ameryki, ale nie zjawiał się królewicz. Cztery

pielęgniarki pilnowały chorej, zastrzykując jej codziennie potrzebne porcje środków odżywczych, aby ją utrzymać przy życiu. Powiedzieliśmy „chorej”, jednakże lekarze nie mogą dojść rodzaju choroby, ani też sposobu jej wyleczenia.

Początkowo twierdzono, że jest to śpiączka murzyńska, spróbowano więc środków, które w tym terminie minął, a Patrycja zdrowo spała dalej, postawiono diagnozę, że jest to reakcja po jakiejś chorobie, t. zw. śpiączka chroniczna, i że śpiączka nie przetrzyma dłużej nad dwa miesiące. Tymczasem minęło 48 miesięcy, a sen nie ustaje.

Lekarze czekają więc, co los zdarzy. Jak długo będzie spała „Miss Dactylo 1932” i kiedy się obudzi, niewiadomo. Jeśli się jednak zbudzi, karjera w Hollywood tym razem już jej chyba nie minie: jest przecież bezkonkurencyjna.

Śmiertelna walka z orlicą broniącą swych młodych

Gazety włoskie opisują dramatyczne przeżycie, jakie w czasie swej służby w Alpach miał leśniczy Pietro Morli.

W rewirze jego założono hodowlę kozic, które rządził włoski postanowił wypełnić ubytki w zwierzogórskim, gdyż klusownictwo wytrzebiło już zupełnie te piękne zwierzęta. Małe stadko chowało się i rozmnażało doskonale, gdy pewnego dnia stwierdzono brak jednej młodej kozki. Wkrótce potem znaleziono ją nieżywą na dnie przepaści, a liczne ślady szponów na ciele dowodziły, kto był sprawcą. Poczęto więc wypatrywać i stwierdzono, że nad okolicą pojawiły się dwa olbrzymie orły, które urządziły sobie gniazdo w połowie niedostępnej, prostopadłej ścianie skalnej, na 1.000 metrów wysokości.

Przez kilka tygodni próbował Morli wraz ze swym pomocnikiem, Giuseppe Batino, ustrzelić któregoś z powietrznych rabusiów, okazało się to jednak rzeczą niewykonalną. Olbrzymie ptaki, jakgdyby przezuwając niebezpieczeństwo, krążyły niesłychanie wysoko, a do gniazda dostawały się w ten sposób, że związując skrzydła, spadały jak kula w dół, aby na wysokości swej kryjówek rozwinąć skrzydła spowrotem i bezpiecznie lądować w gnieździe. Znajdowały się tam orle pisklęta i w ten sposób największa groza sytuacji: bo jeśli dopuszczono do rozmnożenia się ptaków, o utrzymaniu młodego stadka kozic przy życiu nie mogło być mowy.

Postanowiono zatem dokonać wypraw do gniazda — jednej z najfantastyczniejszych wypraw wysokogórskich. Przygotowano do niej niezwykle długą linę, w której wyposażeni Morli i Batino wraz z trzema pomocnikami przedsięwzięli ciężką wspinaczkę na szczyt, z którego dopiero rozpoczęła się wyprawa właściwa: do gniazda. Na linie, opatrzonej drewnianą poprzeczką, tak aby można było uisnąć, a nadto przywiązany do niej kilku pasami, Batino począł opuszczać się wzdłuż pionowej ściany, odpychając się od niej to nogami, to okutym kijem alpejskim. Czterech pozostałych trzymało linę, powoli ją opuszczając. Wszyscy pełni byli trwożnej niepewności, czy szalone przedsięwzięcie się uda: gniazdo bowiem leżało przeszło 200 metrów niżej szczytu. Batino jednak miał szczęście, w gnieździe nie było starych i bez trudu udało mu się zabrać dwa małe orlęta, które

włożył do kieszeni. Rozpoczął się pośpieszny powrót, czterech jego towarzyszy do góry wytyżali wszystkie siły, aby jaknajprędzej linę wyciągnąć.

Ale orły mają, jak wiadomo, orli wzrok. Ledwie Batino przebył czwartą część drogi powrotnej, już jak kula spadł z błękitów wielki czarny cień: to orlica śpieszyła bronić swych młodych.

Rozpoczęła się nierówna walka człowieka z ptakiem — nierówna, bo ptak miał olbrzymią przewagę. Batino próbował bronić się kijem, ale już wkrótce zostały z niego tylko ułamki. Orlica zaś wzięła się szponami w jego kark i potężnym dziobem bez ustanku waliła w głowę i ramiona rabusia, który jej porwał pisklęta. W strzępy poszło ubranie i krew spły-

wała z nieszczęśliwego, który niemal bez życia zwiisał bezwładnie na linie. Towarzysze gorączkowo strali się jaknajprędzej wyciągnąć linę.

Wreszcie ukazała się im postać Batino wraz z olbrzymim ptakiem uczepionym u jego głowy. Morli rzucił się z nożem myśliwskim na orlicę i ugodził ją, ale wzamian otrzymał potężny cios dzioba, który mu rozplątał rękę. Dopiero wspólnymi siłami wszystkich czterech mężczyzn udało się orlicę obezwładnić.

Przez szereg miesięcy leżał Batino w szpitalu, zanim wylizał się ze swoich ran — rad, że z tej operacji wyszedł z życiem. Ale hodowla kozic była uratowana, bo i owodowało orlowi niedługo już udało się unikać śmiertelnej kuli.

Okręt przekrajany na dwie części Niezwyczajna katastrofa na Dunaju

W ub. czwartek wydarzyła się w Wiedniu na Dunaju straszliwa katastrofa, nienotowana dotąd przez kroniki żeglugi rzecznej.

Spowodu wywołanego przez długotrwałe deszcze wysokiego poziomu wody przejazd pod mostem, łączącym oba brzegi Dunaju (t. zw. Reichsbrücke), był niemożliwy dla największych statków komunikacji pasażerskiej i przewoź pasażerów do przystani i z przystani uskuteczniał „Wien”, również jeden z największych kolosów dunajskich, gdyż jego długość liczyła 74 metry, a pojemność 1400 osób; niska jednak budowa umożliwiała statkowi przepływanie pod mostem nawet przy wysokiej wodzie.

„Wien” wyprowadził się właśnie po pasażerów, gdy nagle jedna ze stalowych lin sterowych pękła i parowiec zaczęło wykręcać w poprzek rzeki, pędząc go z kolosalną szybkością na jeden z filarów mostowych. W ciągu kilku sekund rozegrała się nieunikniona katastrofa: statek uderzył o drewnianą palisadę, osłaniającą filar, a skosiwszy ją jak kępę trawy, zetknął się z filarem. Zachwiał się

cały most, spiętrzyła się woda, wstrzymywana olbrzymią tamą, jaką stanowił statek, później zaś pękły spoidła i „Wien”, przekrajana na dwie połowy, poszła na dno. Z 29 osób załogi większości udało się uciec i uciec filaru i w ten sposób uratować, 6 osób jednak zginęło w falach.

Obecnie inżynierowie rzeczni badają bardzo troskliwie filar mostowy, gdyż zachodzi obawa, że został on przy zderzeniu silnie uszkodzony i że cały most mógłby się zawalić.

O „Błękitną Wstęgę”

Walka o „Błękitną Wstęgę”, której nie udało się zdobyć nowemu olbrzymowi angielskiemu „Queen Mary”, będzie, jak się zdaje, trwała w ciągu najbliższych miesięcy. Francuzi bowiem zaniepokojeni możliwością utraty zdobytego przed rokiem rekordu, zapowiedzieli, że „Normandie” będzie się starała poprawić poprzedni wynik. Anglicy zaś ze swej strony nie chcą również dać za wygraną.

Jak się bowiem okazało, przyczyną słabego stosunkowo tempa podczas dziewiczej jazdy „Queen Mary” było poważne uszkodzenie turbin na parowcu. W tej chwili inżynierowie mają orzec, po dokładnych oględzinach, czy defekt da się naprawić, czy też statek musi być wyposażony w zupełnie nowe maszyny.



To i owo

ZAMASKOWANI BANDYCI

We wsi Niemce, pow. opatowskiego, dwóch zamaskowanych bandytów wtargnęło do mieszkania Pinkasa Pancera, żądając wydania 3 tys. zł. gotówki. Bandyty zgnęli się nad domownikami, zadając im liczne rany bagnietami i siekierą. Z ran córka Pancera zmarła, a Pancer i jego żona doznali b. ciężkich obrażeń. Bandyty po zabranianiu 42 zł. i cennej biżuterii uciekli.

FABRYCZKA BILONU

Posterunek policji w Holojowie, (woj. łwowski) wpadł na trop fabrykantów i kolporterów monet 5-cio złotych we wsi Babice. W chwili wejścia do mieszkania, gdzie mieszczała się fabryczka, policja zastała dwóch fałszerzy, Marcina Lorysa i Emila Łopuszańskiego przy fabrykacji monet. Na widok policji fabrykantów uciekli przez okna. Lorysa natychmiast ujęto, natomiast Łopuszańskiego dopiero po pościgu i oddaniu kilku strzałów, z których jeden trafił go w lewe ramię.

Podróżuj samolotem

MARJAN MALKOWSKI

19)

TAJEMNICA ZA KAŻDEMI DRZWIAMI

Powieść

— A kto to na pierwszym piętrze mieszka? — zagadnął już do drzwi się mając — pukalem i nikt się nie odezwał...

— Tu pod nami, to puste mieszkanie... z parę miesięcy tak stoi.

— Nie wynajęte?...

— A nie, choć raz wraz ktoś ogląda. Wczoraj była tu w południe jakaś pani; przyszła od kuchni; (pani mojej ani paniemki nie było); mówi, że dozorca klucz zabrał od pustego mieszkania na pierwszym piętrze i poszedł na miasto a jej się śpieszy, więc ona prosi, żebym jej nasze mieszkanie pokazała bo to podobno taki sam rozkład jak tego pustego. Pokazałem jej całe, ale widać się nie spodobało.

Wywiadowca Cudziś słuchał uprzejmie. Panna Wikcia rozgadała się nadobrze: — Bo to teraz z temi mieszkaniami źle będzie. To pan nie wie? W domu tutaj człowieka zabił... Jak, albo to wiadomo! Ktoś tu teraz mieszkanie najmował; ci co tu siedzą teżby się chętnie wynieśli. Ta z trzeciego od pani Będrzeckiej to mówiła, że się pewno wyniosła, ale gdzie tam jej pani się ruszać, ledwo to to iza. A żeby Justyna chciała naprawdę, to się też nie wydaje; kawalera sobie ma, a jakże! Niemłoda, toteż i kawaler na pieniądze nie na nią leci, ale zawsze... To ten z pierwszego, naprzeciwko... ręką ku oknu machnęła — ten co to u pana Bolewy w obowiązku...

Wywiadowca Cudziś schodził powoli ze schodów. Na tej klatce schodowej nie było już nic ciekawego. Czekają go jeszcze drugie schody.

Wszedł w sień i przystanął. Z góry dobiegały stłumione głosy

prowadzonej na schodach rozmowy. Podnosił się zwolna, bezszelnie. Drzwi na pierwszym piętrze były otwarte, w progu stał mały szczupły człowiek o podłużnej czaszce, lysej zupełnie i rozmawiał półgłosem z ciemno - odzianą niemłoda już kobieta z koszyczką w ręku wspartą o poręcz schodów.

Wywiadowca Cudziś przystanął, by nie spłoszyć rozmawiających a spojrzawszy w górę przekonał się, że nie on jeden tylko interesował się tem spotkaniem; z trzeciego piętra z ponad balustrady wychylała się różowa twarzyczka z puklem ciemnych włosów opadających na ciekawe oczy wpatrzone z natężoną uwagą w rozmawiających na podeście pierwszego piętra osoby...

Podejrzenia panny Magdy zaczęły się coraz wyraźniej krystalizować. Było to wszystko tak jasne i proste. Doprawdy, jak policja mogła nie wpaść na trop! Przecież to oburzające, taki brak zręczności...

Pan Jalkiewicz kiwał głową i dreptał wolniutko chodnikiem, mruczając oczy przed słonecznym blaskiem. Panna Magdzia kroczyła obok niego przejęta, rozgorączkowana.

— No bo przypuśćmy tylko, panie sędzio, że Cholyński był jakimś krewnym pani Będrzeckiej; przecież to możliwe...

— Możliwe, — kiwnął głową pan Jalkiewicz.

— Ona nie ma żadnych innych krewnych, wogóle nikogo; nikt jej nie odwiedza, ona nigdzie nie bywa. Dowiedziała się albo może przypomniała sobie o istnieniu jakiegoś krewniaka i chce mu zapisać majątek, bo ona ma pieniądze, oho! Pisze więc list, wyzywa go, chce go poznać bliżej... Dowiaduje się o tem służąca, jedyna opiekunka i powierniczka pani; liczyła już, że ona będzie dziedziczyć po śmierci swej chlebodawczyni za tyle lat wiernej służby. Podsuwa pani datę dnia, który naznaczyć ma na wizytę Cholyńskiemu: dzień wyprowadzki państwa Heimana, godzinę przyjęć adwokata Wyszeborę, czas, gdy wiele obcych ludzi krążyć będzie po domu, utrudniając odnalezienie przez policję właściwego tropu.

— Hm... — chrząknął zeicha pan Kalikst.

— Nie twierdzą, że to ona go zabiła, wcale nie; byłoby to dla niej zadrukne do wykonania, ale ma współnika; jest nim mały, chudy człowiek z lysą czaszką i twarzą degenerata...

— Mały, chudy...

— Pan się domyśla? Służący pana Bolewy!

— Aa...

— Właśnie; widziałam nieraz, jak rozmawiali na schodach a gdy ktoś idzie; myk... ona na górę, on w drzwi. Pocóżby się kryli, gdyby mieli czyste sumienia? I dżiś ich widziałam... No i co pan myśli?

— Hm, co myślę? — Pan Kalikst potrząsnął znacząco głową — myślę właśnie, poco taka świeża i młoda osóbką, jak panna Felicja Westen kupuje róż w perfumerji?

Panna Magdzia zatrzymała się gwałtownie i zmierzyla emeryta zdumionem i oburzonem spojrzeniem.

— Była wprawdzie trochę błada w ostatnich dniach, ale żeby zaraz robić sobie sztuczne rumieńce! Panią to pewnie śmiesz, co mówię; wiem, jestem bardzo staroświecki... bardzo staroświecki...

Magda wzruszyła ramionami i spojrzała na pana Jalkiewicza nieomal z pogardą.

— Muszę już iść — rzekła szorstko — czekają na mnie z obiadem; chciałam wprawdzie powiedzieć panu coś jeszcze, ale widzę...

— Tak, tak... mruczał za odchodzącą pan Jalkiewicz — zupełnie tego nie rozumiem, przecież rumieniec sztuczny tyle prawie rzuca się w oczy, co nienaturalna bledność, a przytem świadczy jeszcze, że bledność pragniemy ukryć... tak, tak...

Sędzia Adulski poprawiał nerwowo okulary, rzucając niepewne spojrzenia na izę Martenową zagłębioną, w fotelu. W kącie pokoju komisarz Pietraszek wsparty o etażerkę z książkami patrzył z rozrządzeniem w okno. Iza Marten była ubrana czarno, ale nie w żałobie. Czarny aksamit kapelusza odbijał od niezwyklej białości jej twarzy, palce w czarnych rękawiczkach spłotła na kolanach i nieruchomym spojrzeniem swych ciemnych, bolesnych oczu wpatrywała się w młodą twarz sędziego.

(D. c. n.).

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefon: 666-68 (redaktor naczelny), 656-68 (sekretariat), 666-99 (ogólny). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 12-13.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 121. Telefon: Zarząd 691-64, Prenumerata 691-66, Księgowność i Kasa 220-30. Dział Ogłoszeń Zgoda 1, tel. 691-56, Kantor — Zgoda 1, tel. 230-00. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — ABC Warszawa, Konto P.K.O. Nr. 15-798.

PRZEDSIĄWZIELSTWA: Piotrków Trybunalski, Słowackiego 8, tel. 59, Włocławek, Cyganki 24, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnośnieniem do domu) i na prowincji zł. 2.30 miesięcznie; wydanie B wraz z dzielnymi Sienkiewicza zł. 3.30 miesięcznie.

Ceny ogłoszeń:

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalaty (na wszystkich stronach po 6 szpalat): na 1-iej stronie — 1 zł., w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty i wyjaśnienia — 1.50 zł., opisy specjalne — 3 zł., leżarskie — 30 gr. Nekrologia po 3 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy, a duży druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty i wyjaśnienia cyfrą (K.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada. Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.